

Historia Małgosi (Heleny z d. Pawlik-Gwozdeckiej)

W 1950 roku, gdy pracowałem na Wysokiej Łące, u Kamyka Pizły, równocześnie się lecząc, przysłała do mnie jedna z pracownic z listem i prośbą o pomoc. Napisała wypisana już po leczeniu pacjentka, skarżąc się, że po wypisaniu straciła pracę, mieszkanie, nie ma co ze sobą zrobić. Pytała o możliwość uzyskania pracy jako, na przykład, sekretarka. Opisano mi ją jako młodą, bardzo zdolną, świetnie piszącą na maszynie dziewczynę. Dowiedziałem się też, że przed wypisaniem była w rozpacz. Poszedłem do Kamyka. Okazało się, że właśnie na urlop macierzyński odchodzi sekretarka i nie ma przeszkód.

Tak zjawiała się 23-letnia, smukła, zastraszona, niezbyt ładna Halina Lipińska, która szybko podbiła serca lekarzy i pielęgniarek. Kamyk był zachwycony nową sekretarką. Ja jej pomagałem, jak mogłem, zwłaszcza w odczytywaniu łacińskich rozpoznań i zwrotów. Nazywano ją Małgosią, podobno z uwagi na byłą przyjaźń z jakimś Jasiem, i tak już zostało. Zaintrygowało mnie jedno, gdy wykonałem przed nią jakiś szybszy ruch ręką, natychmiast zasłaniała ramieniem twarz w obronnym odruchu, a w oczach miała przerażenie. Czyżby była bita? Często cierpiała na silną migrenę.



Zapowiadano wymianę starych niemieckich kennkart. Małgosia zrobiła się niespokojna, następna migrena nie ustępowała po tygodniu trwania, poinformowano mnie, że jakoby usiłowała popełnić samobójstwo. Po radzie z Kamykiem skierowaliśmy ją do kliniki neurologicznej we Wrocławiu. Ja doszedłem do wniosku, że za tym wszystkim kryje się jakaś tragedia osobista.

Przejrzałem wszystkie jej osobiste rzeczy i stwierdziłem, że ona nie ma żadnych dokumentów, poza świadectwem pracy z Gazety Robotniczej w Katowicach. Były natomiast dwa listy od jej wychowawczyni, z którą Małgosia najwidoczniej zerwała kontakt. Napisałem do niej, przedstawiając jej stan Małgosi. Napisałem też do jej, jak się zorientowałem, narzeczonego, ale nie zareagował.

Była wychowawczyni, Pelagia Di Risio z Dziedzic przysłała długi list, w bardzo nieprzyjemnym tonie, z którego, po dalszych moich dociekaniach, wyłoniła się tragiczna historia:

W 1930 roku w krakowskiej gazecie ukazało się ogłoszenie: „Trzyletnią dziewczynkę oddam na wychowanie bezdzietnej rodzinie”. Podano adres kontaktu. Di Risiowa, Ukrainka, żona byłego jeńca włoskiego, odebrała w jakiejś podkrakowskiej wsi zaniedbane dziecko, z wielką, świeżo zagojoną blizną po oparzeniu na prawym ramieniu. Za dziecko zapłaciła trzysta złotych, otrzymując kartkę z oświadczeniem: „Oddaję na wychowanie pani Di Risio Halinę Zofię Lipińską urodzoną 18 października 1927 w Krakowie”. Podpisany Stanisław Pawlik-Gwozdecki. To wszystko i do tego nieprawdziwe.

Di Risiowie nie poczynili żadnych kroków w kierunku adopcji. Dziecko posłane do szkoły nie dostawało świadectw, bo nie miało metryki urodzenia. Już od 10 roku życia zapędzone do pracy, musiało utrzymywać w porządku piętrową willę, niemilosierne bite czym popadło,

pogrzebaczem, tasakiem, nożem. Na głowie i ciele miała, jak później stwierdziłem, kilkadziesiąt wielkich blizn. Kilkakrotnie uciekała, rok spędziła w sierocińcu, z którego pamięta wielką przyjaźń z wielkim, groźnym psem, którego się wszyscy bali. Odnalazła też Pawlik-Gwozdeckiego, który przyznał, że jest jej ojcem. Matka już nie żyła. W końcu wróciła do Di Risiowej. W czasie wojny 13-letnie dziecko poszło do pracy w cegielni, gdzie nogami miesiła glinę. Szybko jednak dostała pracę w fabryce kabli, gdzie niemiecki inżynier zainteresował się nią, ocenił jej inteligencję i posłał na szkolenie. Opanowała dokładnie język niemiecki, stenografię i maszynopisanie. Nie udało mi się niestety odnaleźć śladu tego inżyniera.

Po wojnie opuściła Dziedzice i Di Risiową. W Katowicach łatwo dostała pracę przy nasłuchu radiowym w redakcji Gazety Robotniczej i zapowiadało się dobrze, miała przyjaciół, ćwiczyła też w szkole baletowej. Nagle z powodu gwałtownego krwotoku płucnego znalazła się w sanatorium w Bukowcu. Próba odmy była nieskuteczna. Dla ratowania życia, po kolejnych krwotokach wykonano operację torakoplastyki tj. wycięto trzy górne żebra prawostronnie, żeby ucisnąć zmiany gruźlicze w szczycie płuca. Do sił doszła szybko.

Udało mi się nawiązać kontakt z niańką rodziny Pawlik Gwozdeckiej, która poprosiła, by Małgosia, gdy wróci, przyjechała do niej, wtedy uzyska wszystkie informacje. Tymczasem Małgosię przywieziono okradzioną ze wszystkich rzeczy z dworca kolejowego w Jeleniej Górze. Uciekła z Kliniki, czuła się już lepiej i na pierwszą wieść o moich dokonaniach pojechała do Krakowa, skąd przywiozła metrykę chrztu. Okazało się, że naprawdę jest Heleną Zofią Pawlik-Gwozdecką, urodzoną 23.11.1927, czyli wszystkie poprzednie dane były fałszywe. Po co? Nigdy się nie dowiedzieliśmy.

Prawnie zmiana wszystkich danych wydawała się omal niemożliwa, lecz z pomocą przyszła moja pacjentka z oddziału, której matka była przewodniczącą Miejskiej Rady Narodowej w Jeleniej Górze. Ta wystawiła orzeczenie, że Helena Zofia Pawlik-Gwozdecka nieprawnie używała nazwiska Halina Lipińska i tak dalej. Małgosia dostała dowód osobisty, moja małżonka uzyskała rozwód, a ja postanowiłem poświęcić resztę życia, by naprawić wszystkie krzywdy, jakie Małgosi wyrządził los.

